Nr. 50. We Lwowie dnia 13. grudnia 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysloucha.

El...y.

(Odczyt J. Kasprowicza na wieczorku Asnyka).

Przypadł mi dzisiaj zaszczytny obowiązek w udziele, obowiązek złożenia hołdu pieśniarzowi, którego wielkie zasługi na polu poezji naszej same przez się takim są dlań hołdem, że go żadne słowo, choćby najgorętszych wielbicieli, zastąpić ani uzupełnić nie może.

Jeżeli jednak przemawiam dzisiaj, to w uroczystej chwili tej powoduje mną chęć przypomnienia najgłówniejszych pierwiastków Asnykowskiej liryki, które niewątpliwie znane są szanownym słuchaczom, ale które zwykłym porządkiem rzeczy chowają się w wirze zajęć i trosk codziennych na głąb duszy i osłonięte szarą mgłą powszedniego życia, zewnętrznych dopiero wymagają bodźców, aby stanąć przed nami w całym swym blasku, aby promienić właściwą im tęczową barwnością.

Można bez obawy spotkania się z zaprzeczeniem twierdzić, że cała młodsza generacja ludzi wykształconych wsłuchiwała się i wsłuchuje w dźwięki pieśni, przypominających strofy prowansalskich truwerów, pieśni — jeżeli je przeniesiemy w sferę porównania z dziedziny sztuki plastycznej — posiadających linje Psychy, wyszłej z pod dłuta Praksytelesowego, pieśni, odurzających wonią jaśminu i konwalji, czarujących kwieciem wodnych lilij i róż białych.

A chociaż dusza tych tonów, wychodząc z koła melancholijnej zadumy, przybierała czasem postać szydercy, urągającego publiczności, że z rąk jej wypadł sztandar wielki, że w sercu jej zagasł płomień, który stwarzał bohaterów i męczenników, że znamionami jej dzisiejszemi to niedowiarstwo i hipokryzja, tchórzliwość wobec budzących się haseł nowych, chłód lub mdły sentymentalizm na miejscu dawnego uczucia — chociaż dusza ta, upozowawszy się na chmurny posąg wieszcza, stojącego »z wężowemi rózgami Eumenid« w ręku przy grobie Agamemnowym, gromiła »gotowy paść liktorom w ramiona« »blady cień Baru«, to publiczność, a przynajmniej oświecona jej część, przekonawszy się, że natchnień nowego poety nie można mierzyć zwyczajną rymopisów miarą, uchyliła przed nim czoła; to »Arystodemów wdowa żałobna« zaliczyła go do najlepszych swych synów, do chlub i chwał swoich.

A zaliczyła go nie dla tego, że do poezji naszej, wspinającej się pod tchnieniem genjuszu wielkich mistrzów romantyki na szczyty zawrotnie wysokie i stamtąd rozbrzmiewającej potęgą, zdolną rozsadzić nie łona ludzkie, lecz piersi tytanów, wprowadził nowe pierwiastki w postaci — jak mówi jeden z krytyków — »uczuć wiotkich, delikatnych, a kruchych«.

Nie dla tego, że obdarzony nadzwyczaj subtelnym, prawie wyrafinowanym zmysłem artystycznym, doprowadził formę wiersza do niebywałej przedtem kunsztowności, choć miał pod tym względem takich poprzedników jak Słowacki i Zaleski. Nie dla tego, że wrażliwa, a wiewna, promiennością przepojona jego dusza umiała, zboczywszy na chwilę do eleganckiego buduaru, ulatać na pola nasze, pomiędzy dzwonki i bławaty, niezabudki i fijołki, wsłuchiwać się w szmer wody, huczącej po kamieniach, błądzić śród ozłoconych szczytów tatrzańskich, padać w ascetycznem uniesieniu pod stopy krzyża, lub pod odłamkami rzeźb greckich snuć marzenia o miłości, mającej nową zwiastować wiosnę ziemi, »skażonej gniciem grobowem«. Nie dla tego, że potrafiła się nurzać w mgławicach kosmicznych, jak blask słoneczny unosić się nad ciemnemi głębiami, wyprowadzać z nich wątek najzawilszych zagadnień i rozjaśniać je światłem swojem. Nie dla tego, że te wszystkie tak rożnorodne akordy łączyła w dziwnie roztęsknioną melodję, podobną do szelestu wierzby, płaczącej na pustkowiu, do śpiewu czarnych świerków, które duszę tę, odpoczywającą na mchach jedwabnych, do snu kołysały, w muzykę harmonijną, jak szmer siklawy, jak szum bajońskiej zatoki, a tylko czasem przerywaną zgrzytliwą klątwą z szkła, wypełnionego falernem, tryskającą,

lub rozpaczliwym wybuchem nowych boleści spragnionego Tantala.

Do chlub i chwał swoich zaliczyła go dla tego, że jakkolwiek w twórczości poety był okres, w którym dusza jego skarżyła się na własne z czysto egotycznych, niejednokrotnie dość miałkich źródeł wypływające bole, to przecież niebawem otrząsła się z tego zakochania się w sobie i mając niejako przyrodzoną skłonność do refleksji, jęła wchłaniać pierwiastki, stanowiące istotę najszlachetniejszych dążeń i pragnień ludzkości, zastanawiać się nad niemi i wcielać je w kształty swej spokojnej, a głębokiej, pomimo tu i ówdzie widocznych wahań, stanowczej wyobraźni.

Zaliczyła go przedewszystkiem z tej dla nas i dla naszej poezji tak doniosłej przyczyny, że dusza jego wychowana w tradycjach Adamów, Juljuszów i Zygmuntów, rozwijająca pierwsze swe pączki w chwili, kiedy społeczeństwo nasze, zerwawszy się znowu do bohaterskiego lotu, spadło w kałużę krwi własnej i na podstawie naturalnego prawa ekscytacji i depresji poczęło nasamprzód tracić wiarę w możliwość dźwignięcia się z upadku, a potem, ochłonąwszy z przestrachu, szukać nowych dróg odrodzenia — że więc dusza jego do pierwotnych, młodzieńczych wróciła natchnień i przesłuchując się pulsom narodu, odtwarzała jego rozpacze i jego nadzieje.

Zaliczyła go dlatego, że równocześnie dusza ta wskazywała narodowi i środki, których jąć się należy, ażeby z »bladego cienia Baru« stać się potęgą, »sen Grachów w czyn zamieniającą« ażeby mianowicie odpowiedni zapewnić udział w życiu społecznem temu »najmłodszemu w siermiędze«, co idąc razem z dwoma innymi braćmi na górę z kryształu, by »z rąk czarodzieja złego« uśpione wyrwać bóstwo, nie zginie w płomieniach jak tamci, nie padnie zwyciężony, lecz »oprze się pokus i czarów potędze i pnąc się zwolna, mimo straże gniewne z snu zaklętego obudzi królewnę«.

Ten przykład Asnyka, który w rzeźbiony ręką Celliniego złocisty puhar formy poetyckiej umiał wlewać myśli i uczucia, nie z egotycznych zrodzone podnieceń, ale będące iskrami czy to wielkiego ogniska ludzkości, czy też odbiciem życiowych blasków rodzinnego społeczeństwa, ma wielkie znaczenie zwłaszcza w naszych czasach, gdzie źle zrozumiane hasło »sztuka dla sztuki« stwarza kokieteryjnie zapatrzonych w siebie narcyzów poezji, Endymionów, »lecących w zachwytów nieskończoność«, których treścią nie jest życie z jego rozkoszami i bolem, z jego pragnieniami i przebojem, tylko widmo »rzuconej w błękity bladej Seleny«. A widmo to, choć kochanka swego »nową co noc odświeża młodością«, nie umie w młodość tę wlać siły czuwania, tylko mami pozorem życia, bo w wiecznie uśpionym haszyszowe jedynie, nieuchwytne, mgławe rozbudza marzenia.

Że i El...y przebywał okres takiego Endymionizmu, że i on tęsknił za pocałunkiem księżycowej fantasmagorji, »któryby mu czas zamknął«, czas promieniami dnia oświeconej pracy na zachwaszczonym zagonie społecznego bytu, a uniósł go na skrzydłach rojeń w sferę, z realnymi warunkami życia nic nie mającą wspólnego, że i El...y fazę tę przechodził, nie jest to dowodem, ażeby leżała słuszność w odrywaniu poezji od zadań, wyposażonych w krew i kości ludzkie.

Po krótkiem zboczeniu z drogi, którą najwięksi kroczyli mistrze, na której Dante i Szekspir, i Byron i Shelley i Goethe i Schiller i Mickiewicz i Słowacki i Krasiński zbierali materjał dla wzniesienia sobie wspaniałego w przyszłości pomnika, przyszedł Asnyk do przekonania, że poeta nietylko ma prawo być obywatelem czy ludzkości czy swego kraju, ale że jest to pierwszym jego obowiązkiem i że tylko te wytwory jego ducha posiadać będą moc trwania, w których odzwierciadlają się myśli i uczucia ogółu, a jego własne cierpienia i nadzieje o tyle, o ile spowodowane są cierpieniami i nadziejami społeczeństwa.

Przyszedł do przekonania, że wprowadzając do poezji swojej te powszechnem szczęściem promienne, lub powszechną boleścią spochmurniałe żywioły, ujmy jej nie czyni, lecz owszem wiedzie ją z ładnego może, ale od perfum dusznego buduaru, w miejsce dla niej właściwsze, bo pod sklepienia przestronnej, na potężnych kolumnach opartej świątyni, w której uroczysta, podnosząca serca, krzepiąca ducha panuje atmosfera.

Przyszedł do przekonania, że choć myśl społeczna czy filozoficzna może ciężkością swoją obarczyć lotne skrzydła liryki, może przeszkodzić jej w takiem rozpłynięciu się w mgły rozmarzenia, iż przed ludzkiem okiem zginie wyrazistość jej kształtów, to przecież »nad cichą serca spowiedź« trwalszemi będą wyrazy o tym Heraklesie, który »będzie zwycięzcą i przy gromów błysku Prometeusza z więzów oswobodzi«, bo tamte pisane są na listku róży, więdnącym już przy zerwaniu, a te ryte są w spiżu.

Przyszedł do przekonania, że nad owe dźwięki canzonetty, wzywającej znużonego wędrowca, ażeby zapomniał o mirtach dawno zwiędłych i w cieniu krzewów, pod innemi wyrosłych niebiosami do spokojnego snu się ułożył, donioślejszym choć tak strasznym jest ów okrzyk:

«Wróćcie mi zatem, nieśmiertelne bogi!
Grozę mych piekieł i straszliwe kary,
Wróćcie mi widok Erynyj złowrogi
I niezgaszone pragnień pożary!
Niech się rwie Tytan ze swego łańcucha,
Niech pragnie, cierpi — lecz niechaj wybucha!«

Donioślejszy, bo łagodna melodja canzonetty urodziła się z nadmogilnych majaków,

a rozpaczny dysonans Tantala powstał jak wiew burzliwy z wiecznie niesytej, do świeżych zamarłością życia wstrząsnąć mających czynów roztęsknionej siły!

Przyszedł do przekonania, że owe błogosławieństwa, zlewające się na tych, którym otworzą się oczy, »pełne blasku i pieszczoty«, że owe zazdroszczenie kwiatom, iż »mogą składać życzeń utajonych wiele« i śnić o szczęściu, »zanim z tęsknoty uwiądną serdecznej«, że zakochanych z liljami wodnymi rozhowory, owe, smutne nawoływania »Gdzie ona?« — że wszystkie te głosy i półgłosy marzącego serca niczem są wobec śpiewu o tej myśli, której »ani miecz, ani ogień nie zdoła powstrzymać w biegu«, o tym »płomieniu prawdy«, o tej »wiedzy jasnej pochodni«, której szukać, którą nieść każe młodym, o tym ludzie wreszcie, na którego zdrowie wznosi kielich, napełniony najwybrańszem winem swych uczuć

Tamte mają woń fijołków, a te żywiczny zapach limb, wyrosłych na dumnych, niebosięgłych graniach; tamte mają dźwięki roztkliwionej fujarki, na której w noc lipcową przy księżyca blasku wygrywa samotny pasterz w ogrodach Delilla, a te brzmią prawie że potężnym Klangorem surm wojennych, pobudzających miljony krwistych, życia pełnych rycerzy do walki o najdroższe dobra ludzkości.

(C. d. n.)

O kwestji tak zwanej „kobiecej"

ZE STANOWISKA NAUK PRZYRODNICZYCH

Dr. B. Dybowski.

(Ciąg dalszy).

Ale obserwacja koni tabunowych nie dla każdego jest dostępną, więc tym, którzyby chcieli własnem doświadczeniem przekonać się o prawdzie słów, powyżej wypowiedzianych, radzimy robić spostrzeżenia nad stadem bydła rogatego albo nad stadem nierogacizny, lub stadem owiec wioskowych, a w ostateczności nad stadem kaczek domowych lub gęsi, a nawet indyków — a przekonamy się, że nie buhaj, nie kiernoz, nie tryk, nie kaczor, nie gąsior lub jędor, ale zawsze przedstawicielka płci żeńskiej w wymienionych wypadkach, więc skromna krówka lub gąska, albo indyczka są przewodniczkami gromadek, w których samce odgrywają rolę stróżów bezpieczeństwa. Ten fakt ostatnio wymieniony dał powód, przy pobieżnej obserwacji i wobec uprzedzenia niczem nie umotywowanego, do uznania samców za przewódców i kierowników stada. Ale jeżeli sobie przypomnimy opisy uroczystości chlewnych, mających np. miejsce w Szwajcarji, gdzie krowę dekorują znakiem pułkowniczym, a nie buhaja, (co ma także miejsce w Daurji), to przyznać będziemy musieli, że ci, co wychwalają inteligencję samców w stadach wyżej wymienionych, dowodzą swojej nieznajomości »i ducha i planów natury«, nadto będziemy mogli oświadczyć stanowczo, że gdyby się był i znalazł jaki naturalista, któryby chciał podzielać takie zdanie, jak następujące »że jest księga natury, z której czytać rozumowi ludzkiemu pozwoliła odwieczna mądrość Boża, że księgę tę przed nim rozwarła i natchnęła możnością poznania oddzielnych w niej spisanych głosek i składania głosek tych w zdania, wyrażające prawdy i prawa, że widocznie pragnęła ona, by księga ta była prawdziwą ludzkości mistrzynią, wiodącą ją nie na manowce błędne, ale na właściwy gościniec, przez wolę idei świata pochodowi ludzkości naznaczony« — to wszakże i ów naturalista, o którym mowa, wymagałby koniecznie od ludzi, którzy w tej księdze rzekomo czytać umieją, ażeby w celach tendencyjnych nie wnosili do niej produktów swej własnej fantazji, które najniesłuszniej w świecie uznają ze »natchnienia przedwiecznej mądrości Bożej«.

Ale! bo czego też tej »przedwiecznej mądrości« nie wpierano gwałtem najbezczelniejszej samowoli i pisma i słowa i czynu! a jeżeli w jej imieniu wolno było popełniać tysiące nieprawości, barbarzyństw, morderstw, gwałtów i grabieży, to cóż dziwnego, że np. w obecnej chwili ktoś w imię tej samej »mądrości« odsądza kobiety od prawa leczenia, a to na mocy takich przesłanek, że one nie zostały uposażone »ścisłą rozwagą, głębokim krytycyzmem, stanowczością postanowienia, krwią zimną, konsekwencją stosowania metod leczniczych, wielką objektywnością i samodzielnością pomysłu i czynu«, które to właściwości wraz z wąsami i brodą dostały się w udziale płci męskiej. »A że za małym jest człowiek, by mógł zmieniać plany stworzenia, że wolna wola nasza jest swobodną tylko w ciasnej przestrzeni pomiędzy dwiema szynami żelaznemi, które ograniczają tor losów rodzaju ludzkiego, że tor ten biegnie prawem niewzruszonej konieczności tam, gdzie chciała wola twórcza, że toru tego odwrócić od raz wskazanego mu kierunku żadna wola ludzka nie zdoła« — a więc, śledząc logicznie myśl autora cytowanego, widzimy, że naprożno by szły kobiety przeciwko »woli idei świata pochodowi ludzkości« przyświecającej, i kusić by się chciały próżną nadzieją poznania sztuki leczniczej; — tak, naprożno! One mają prawo być pięknemi, mogą się nawet zajmować pedagogją, ale wara od medycyny, bo ta nauka nie leży w planie programu zajęć kobiecych, który objawiony nam został przez usta natchnione.

W księdze natury, o której mowa, wyczytano następnie, »że z rozwojem rodu ludzkiego nie zmniejsza się, lecz raczej zwiększa różnica pomiędzy budową czaszek obu płci. Dowo-

dzi to, że nie zbliża się w podobieństwie z biegiem wieków kobieta do mężczyzny, ale oddala się coraz bardziej. Różnica pomiędzy kobiecością a męskością wzrasta, to fakt przepiękny« — utrzymuje autor — »bo dowodzi, że obie formy dążą do coraz większej doskonałości. Kobiecość staje się coraz bardziej kobiecością, męskość coraz bardziej męskością«, a że »górującą cechą umysłowości kobiecej jest uczuciowość, a męskiej rozum«, więc do słów autora dodamy od siebie, że w końcu, z biegiem wieków musi koniecznie kobiecość stać się absolutną uczuciowością, męskość absolutnym rozumem, bo dążność (niczem zgoła nie powstrzymywana i nie krępowana) ku rzekomej doskonałości prędzej lub później cel swój osiągnąć musi koniecznie. Wszystko to byłoby bardzo i piękne, i dobre, gdyby w tejże księdze przyrody nie wyczytano, że »rozum bez uczuciowości jest dziką potęgą, a uczuciowość bez rozumu stać się może bezwiedną okrutnością«, otóż jeżeli tak jest w istocie, to musimy widzieć w perspektywie zamiast wymarzonych i obiecywanych »doskonałości«, – same tylko potwory, mianowicie: uczuciowości bez rozumu i rozumy bez uczuciowości. Taka ewentualność, konieczna z racji poprzednio przytoczonego założenia, może być dla kogoś faktem »przepięknym«, co jest rzeczą gustu, ale nie ma być pożądaną rzeczą dla ludzkości, bo już nie mówiąc nic o tem, że możemy przewidywać istne piekło na tym padole płaczu, ale chyba ani »dzika potęga, ani bezwiedna okrutność«, zapewnić nie są w stanie, chociażby już tylko wiecznej szczęśliwości w życiu zagrobowem, tym »doskonałościom« wymarzonym przez autora, umiejącego czytać »po wierzchu« w księdze natury, o której była mowa uprzednio.

Przytoczyłem główne ustępy z pracy Dr. H. N. noszącej tytuł »Kobieta w społeczeństwie ze stanowiska przyrodniczego«, drukowanej w »Tygodniku ilustrowanym 1896. Nr. 17, 20, 21, 22, a zarazem zestawiłem zdania jego i poglądy w jeden szereg logicznych konsekwencji, do których nas w prostej linji doprowadzać one muszą, uczyniłem to dla tego, ażeby wykazać w jaki sposób wyznawcy zasady o celowości w naturze *(causae finales)* traktują każdy przedmiot swoich badań. Oni mienią zwykle wytwory swej własnej fantazji natchnieniem »przedwiecznej mądrości Bożej«, i z poza tej tarczy ochronnej ciskają pomysły swoje, najczęściej paradoksalne, pozbawione zwykle wszelkich podstaw pozytywnej wiedzy.

Gdyby zestawić chciano chociażby tylko fakty następujące 1) Że samice u zwierząt są zwykle bardziej inteligentne, niż samce, 2) że u ludów pierwotnych kobiety przewyższają w inteligencji mężczyzn, 3) że tylko tresura bezmyślna i niewolnictwo kobiet w społeczeństwach cywilizowanych zdegradowały je i przeistoczyły w »lalki salonowe« lub »głupie kumoszki«, 4) że hodowle sztuczne potrafiły przekształcić dzikie jabłka, gruszki, winnegrona, morele, brzoskwinie etc. w zmienione do niepoznania, najsmakowitsze owoce, 5) że pszenicę, żyto i inne rodzaje zboża potrafiono wytworzyć z ziarn prawie bezmącznych, 6) że piękne rasy koni naszych powstały z niekształtnych przodków skutkiem umiejętnie prowadzonej »zootechniki«, 7) że sam człowiek w swym dzisiejszym majestacie bierze swój początek na łonie dzikich, kosmatych prarodziców, etc!... Otóż tylko te fakty i tysiące innych, których dla braku miejsca przytaczać tu nie mogę — świadczą najwymowniej o tem, że niesłusznie pomawia się »przedwieczną mądrość« o intencje, które gruba nasza nieświadomość albo zarozumiałość kreśli od ręki na papierze. Kto dzisiaj jest w prawie wątpić, że rozumnie prowadzona »antropotechnika« dokonać może cudów i że tory, w ten sposób wyznaczone dla ludzkości, będą szersze od tych, które wykreśla dla niej ciasnota naszych pomysłów celowościowych.

Mówiąc w dalszej kolei o stowarzyszeniach zwierzęcych, podnieść musimy ten fakt, iż brak tam motywów, potrzebnych do wytworzenia wznioślejszych stopni altruizmu — nad miłość rodziny, był powodem, że one same podnieść się nie potrafiły na wyższe poziomy uspołecznienia, jak poziom stada, tabunu, mrówiska, roju etc. Tylko altruizm, rozwinięty w granicach szerszych, jest w stanie wytworzyć inteligencję, wykształcić zbiorowiska społeczne wyższych typów. Bez altruizmu wznioślejszej natury niema podwalin ani dla rozumu, ani dla form stowarzyszeń bardziej skomplikowanych, tj. dla skupień socjalnych wyższego rzędu, jakiemi są np. społeczeństwa ludzkie. Ale jeżeli nawet i w tych, już raz uformowanych stowarzyszeniach, altruizm upadać zacznie, gdy egoizm wezmie w nich górę — wtedy one ginąć muszą. Tak np. egoizm zaściankowy respublik greckich, ciasny egoizm cesarstwa rzymskiego, był powodem upadku tych społeczeństw, to też sądzę, że przymiot tego samego rodzaju stanie się zgubą i tych wszystkich narodów, które dzisiaj kroczą w ślady państw powyżej wskazanych. Prawa bjologiczne, co dopiero przytoczone, chcielibyśmy widzieć jak najgłębiej wyryte w świadomości naszej, bo gdy się dzisiaj patrzy na te nienawiści kastowe, plemienne, narodowościowe, państwowe, na szowinizm, na fanatyzm wszelkiego rodzaju — zdawać by się mogło obserwatorowi, iż ludzie uznali uczucie nienawiści za jedyny cement, który może łączyć i spajać pewne grupy społeczne, grupy narodów albo grupy religijne w jakąś całość socjalną, nadto sądzić byłoby można ze sposobu zachowywania się większej części działaczy politycznych, że przyszli oni do przekonania, iż budząc sztucznie nienawiść, mają na celu dobro i postęp ludzkości. Ale nienawiść jakakolwiekby ona była, cementem być nie potrafi, ani służyć może za szczeble do postępu; ona ogłupia ludzi, plemiona

i narody, dzieli je, zbydlęca, natomiast miłość godzi, łączy i uszlachetnia. Nienawiść burzy i rujnuje wszystko i wszystkich, nawet i tych, którzy ją za broń skuteczną dla swoich celów uważają, tylko jedna miłość budować na trwało jest zdolną. Egoizm pragnie mocą siły brutalnej świat cały przerobić na wspólną modłę, na własne kopyto, gdy uważa je w swojem zaślepieniu szowinistycznem za jedynie doskonałe, altruizm przeciwnie umie cenić i uszanować wszelkie dobro, i wszelkie piękno pod każdą możebną postacią, przymusem i gwałtem się nie posługuje, ma on inne, skuteczniejsze i szlachetniejsze środki działania w swem ręku. (C. d. n.).

W PĘTACH

przez

Wacława Sieroszewskiego (Sirko).

8)

(Ciąg dalszy).

— Nad czem tu radzić!... Niema ziemi!... — stanowczo powiedział kniaź i powstał.

— Nie prawda! Grunta są; leżą odłogiem dziesiątki lat. Sami nie korzystacie i innym żałujecie. Chcesz, kniaź, ja ci wskażę masę ziemi zdatnej do uprawy

— Niech sobie będzie! Przyda się dla naszych dzieci.

— Posłuchajcie, — rzekł Aleksander łagodnie i serdecznie. — Siadaj kniaź i ja siądę. Posłuchajcie! Przecie znacie mię dawno. Dwa lata mieszkam między wami, a czy zrobiłem komu co złego? Czy usłyszał kto odemnie choć słowo obraźliwe?

— To prawda! — zgodzili się. — Złegoś nie robił. Zadowoleni z ciebie jesteśmy i prosimy, bądź taki nadal.

— Daliście mi dom, dostarczacie pokarmu... Wszystko to kosztuje.

— Ba! Sam wiesz, że kosztuje.

— Ziemia nic nie kosztuje. Dajcie mi ziemi, ja będę pracował, będę żył... i nic potrzebować od was nie będę.

— Posłuchaj. Zdarzało się, mówili tak inni. Dawaliśmy, a później ani ziemi, ani spokoju... Karmiliśmy do samego końca. Dlaczego wierzyć mamy?!...

— Widzicie, rozbójnikom, łotrom dawaliście.

— Ze strachu dawaliśmy, ale nie należało dawać.

— Dam wam zobowiązanie na piśmie, że kwituję...

— Co papierek pomoże, jeżeli z głodu umierać będziesz! Z głodu człowiek robi się wściekły.

— Posłuchaj, cudzoziemcze, — rzekł kniaź równie jak Aleksander pojednawczo. — Ty mówisz — gruntów dużo. Sami nie orzecie, naco wam ziemia? Czy nie tak?... Dobrze. Żądasz niby niewiele — dziesięciu dziesięcin pewnie. Moglibyśmy odciąć i dać. Przypuśćmy, żeśmy dali: wznosisz zabudowania, orzesz, siejesz — ziemię arendujesz... Pięknie! Pola wasze rozległe, wszędzie płoty i ogrodzenia... Nawbijacie kołków, poznosicie ścieżki, skopiecie najlepsze pastwiska na wzgórzach, gdzie rosną słodkie trawy, gdzie tuczą się nasze stada. Bydlęta wszędzie spotykając płoty, chodzą ogłupiałe i głodne. Jadła muszą szukać daleko od domu i dużo chodzić, mało jeść więc chudną i mleka dają mniej. My żyjemy z naszych stad, wy żyjecie z roli. Gdzie wy wzrastacie w bogactwo, stamtąd my uciekać musimy. Ty powiadasz, żeś dobry, że szukając sprawiedliwości, przyszedłeś aż tutaj, więc przyznasz: co nam z tego, że wam oddamy, a sami pójdziemy na pustynię?... Przecie to ziemia ojców naszych. Gdy oni przyszli tutaj, nie było nic prócz borów, zwierza i komarów.. Oczyścili łąki, wygnali zwierza, a owady wytępili dymem ogni. — Na co nam stąd odchodzić? — Powiedz, cudzoziemcze, gdybyśmy przyszli do waszego kraju i jęli bydłem tratować wasze pola, czy bylibyście zadowoleni? Nie jesteśmy obowiązani ustępować z ziemi naszej, tak myślę! Czyż dzieci nasze nie mogłyby nas obwinić i powiedzieć: głupi byli ojcowie, oddali bogactwo, a zostawili nam błoto i goły kamień. Co za korzyść, że na pięknych naszych polach pięknie mieszkać będą cudzoziemcy! I my z czasem orać i siać będziemy i już siać zaczynamy... potrochu, gdyż odrazu nie wyrzucisz stad swoich, a i zboże nie co rok tu rodzi... Wszak i wy trzymacie bydło... Więc poco wyrywacie nam ziemię?..

Aleksander przymknął oczy i milczał.

— Ziemię prawo mi daje; — wyrzekł nakoniec oschle — ono mię tu wysłało.

— Prawo?... Posłuchaj, cudzoziemcze; — czyż my je pisali? Wy piszecie, co chcecie... Źle sobie, myślę, nie życzycie!

— Niema zgody! nie damy! — hałasowali obecni.

— Złodziejowi, zbójcy dalibyście.

— Z nim nie mówilibyśmy tak! — odrzekł kniaź.

— Dalibyśmy, co taić, ale... zasiedatielowi. Jakut bez dawania nie mógłby wyżyć. Bardzo to lubi!... — zaśmiał się Tus

— Posłuchaj, Liksandra, my ci pomoc zwiększymy za twoje dobre prowadzenie. Słowo, daję, zrobię to, — rzekł Kapiton.

— Zapewne, że gmina zgodzi się, gdy ją cudzoziemiec poprosi, — wyniośle przerwał mu

kniaź. — Wiemy, że teraz, gdy masz córkę, nie starczy ci poprzedniej ilości, więc na lato dodamy pud mięsa i tyleż mleka. Zgoda?... W jesieni znów pogadamy...

— Bierz, cudzoziemcze, toć to niezgorzej!

Aleksander otarł czoło. na które pot wystąpił kroplami.

— Ja nie chcę. Ja chcę ziemi...

— Ziemi niema.

— Grunta, raz wzięte, nie wracają do nas.

— Gdzie jeden Rosjanin zamieszka, tam za rok lub dwa cała wieś wyrasta. Znów będą rozboje i kradzieże, nawet gdybyś ty był dobry!

— Wszyscy oni jednacy! Jedne zawsze powtarzają wyrazy... Widzieliśmy ich nie mało. Nie ma zgody.

— Kto wie, jaki będziesz, gdy ziemię dostaniesz! Dobrych nie wysyłają!.. — krzyczeli Jakuci.

— Sam wezmę, jeśli nie dacie!

— Bierz, jeżeli możesz! — uśmiechnął się kniaź. — Ale bez naszej zgody, wiedz o tem.

Aleksander wziął czapkę i skierował się do wyjścia.

— Cudzoziemcze, hej, cudzoziemcze! — krzyknął za nim Kapiton — Wysłuchaj, proszę, słowo!...

— Co?

— Czyje grunta chcesz zająć?

Aleksander odwrócił się i wyszedł.

Słońce skryło się już za dużą, szarą chmurę, która oparłszy się o zamykającą widnokrąg linję gór, wypuściła daleko na niebo swoje kosmate, pokręcone odnoża. Na brzydkich jej strzępach zorza natychmiast rozwiesiła wszystkie swe ozdoby; złoto, srebro, tęczowe barwy bogato wyhaftowały jej brzegi, przestrzeliły ją opalowe i ametystowe promienie, a pod nią na bladem niebie, osypanem drobnemi gwiazdami, legło podścielisko z jaskrawej purpury. Mgła i zmrok szybko zatapiały dal.

Aleksander szedł, przyspieszając kroku. Czuł, że ogarniała go apatja i wstręt do wszystkiego. Daleko pozostawił już za sobą jurtę Meilacha, połyskującą wesoło oświeconymi oknami. Po przez rzadki las bieliła się wstęga rzeki. Ale noc nadchodziła szybko, a on zdołał zaledwie przebyć połowę drogi. Znowu obstąpiły go przerębie, szczeliny, oparzeliska, pochyłe, zdradzieckie zapadliny. Śniegi zaledwie bielały, a ciemne plamy wody zlewały się z szarą barwą mroku. Często dostrzegał je wówczas dopiero, gdy długą swą pałką uderzał w próżnię lub w czarne, jak atrament strumienie. Kilka razy wpadł do wody, lecz szczęśliwie wydobył się na wierzch, zamoczywszy tylko obuwie. W układzie szczelin i przerębli zaszły zmiany w ciągu dnia, które rzuciły go na los trafu. Szedł omackiem i czuł niebezpieczeństwo wzrastające, im dalej zagłębiał się w kręte, a bystre odnogi. Ale dodawał mu odwagi obraz Zosi, pozostawionej w jurcie brudnej, pełnej robactwa i gnoju i przykra konieczność zanocowania u Meilacha w razie powrotu. Szedł bardzo wolno, wysunąwszy daleko kij, nasłuchując i wpatrując się bacznie. Wielkie oparzelisko przy głównej ławicy powinno było już być blisko; wpaść tam nie było niebezpiecznie z powodu płytkiej wody, ale zachodziło pytanie, w jakim stanie znajdował się lód, na odmętach i dokoła jam. Wciąż więc stawał i nasłuchiwał, czy nie szemrze gdzie fala, wpatrywał się, czy nie błyśnie woda, kijem stukał by poznać po dźwięku, gdzie próżnia. I, jeśli zdawało mu się, że wszystko jest, jak być powinno, szedł naprzód.

Nagle, gdzieś za nim, rozległ się trzask i jednocześnie on sam coraz szybciej zaczął się zsuwać po pochyłości, aż upadł. Woda chlustała mu pod nogami. Chwilę leżał bez ruchu, całą siłą przylegając do kry, która kołysała się pod nim. Nogi wisiały w powietrzu. Mógł poprobować kijem, którego nie wypuścił z ręki, ale bał się ruszyć, pojmując, że najmniejsza nieostrożność mogła go zepchnąć w odmęt, a kra nakryłaby go jak wiekiem. Powoli ustało kołysanie. Więc oswodził prawą rękę i ostrożnie wyjął nóż z pochwy. Mimo to kra zakołysała się znowu i on zsunął się jeszcze o kilka linji. Czekał aż się uspokoi: rękę wyciągnął nad głową i lekkimi uderzeniami noża, jął robić wydrążenie w lodzie. Potem wetknął nóż w zagłębienie i, nie zmieniając położenia, ostrożnie podciągnął się w górę. Powtórzył ten manewr kilkakrotnie, aż upewnił się że może uklęknąć na lodzie; wówczas na kolanach zaczął, pełzając, oddalać się od wody. Słyszał jej szmer i lękał się, że prąd uniósł się daleko. Widział przed sobą czarną, dużą plamę, w głębi której połyskiwały gwiazdy i nikły, pochłaniane przez jakieś białawe obłoki. Groźny plusk wody dał mu jednak poznać, że się znajdował nad głównym prądem rzeki, gdzie było płytko i mógł przejść choćby w bród do wyspy. Stamtąd było już blisko do domu. Okazało się jednak, że kra nie oddaliła się od brzegu, więc zeskoczył i zaczął okrążać oparzelisko, uderzając o lód trzonkiem noża, gdyż koniec kija tak mu rozmiękł, że nie mógł dobyć nim głosu. Przed nim coraz wyraźniej zarysowywało się ciemne urwisko stałego lądu. Wyskoczywszy na brzeg pobiegł raźno do jurty Żabiego Oka. Ruch rozgrzał go i wrócił mu pewność siebie i swobodę. Długo stukał do drzwi nim dobudził się śpiących. Kaszląc, kichając, odsuwała baba zapory.

— Córki niema tutaj. Ona w domu, u ciebie.

— W domu? sama jedna?

— Sama jedna. A co jej się stanie? Odniosłam ją wieczorem i siedziałam, póki nie usnęła.

(C. d. n.).

Ze śląskiej ziemi.

(Ciąg dalszy).

II.

Dziedzina *) Izdebne, kryjąca się, jak szczęście, za górami, leży we wschodnio-południowym kącie pow. jabłonkowskiego, na kresach już Śląska, i graniczy na wschód z galicyjską wioską Kamesznicą, a na południe tylko gmina Jaworzynka wąskim pasem swych gruntów przedziela ją od Węgier. Cała wieś, licząca 2250 mieszkańców, a 402 numerów, rozpada się na kilkadziesiąt osad, zwanych dworami. Każdy z owych dworów, dziś składający się z grupy zabudowań, które należą do kilku gospodarzy, stanowił niegdyś własność jednego, a nazwisko pierwotnego posiadacza wraz z ziemią odziedziczyli następcy. I tak naprzykład: o osadzie, zamieszkałej przez Skurzoków, Legierskich, Kohutów itd. mówi się w potocznej mowie do Szarca, a jej mieszkańcy — prócz poszczególnych nazwisk — mają jedno wspólne miano: Szarcowie; grunta, które należały kiedyś do Kubali, dziś są własnością kilku Kukuczków i Krężeloków, którzy nazywają się Kubalami. U Wojtasza mieszkają Juroszkowie, Śliwkowie, Wenclowie, Urbaczkowie, a wszyscy, mówiąc o sobie, powiadają: My, Wojtaszowie. W niektórych znowu dworach, gdzie mniej zachodziło powikłań w stosunkach rodzinnych, przechowało się i pierwotne nazwisko, u Suszki naprzykład wszyscy są Suszkowie, u Gazury kilku Gazurów, u Burego mieszkają i Burowie. Oprócz wspólnego miana mieszkańcy poszczególnych dworów korzystają ze wspólnych lasów, pastwisk, uważają place, na których stoją ich zabudowania, za własność zbiorową, i zbiorowemi też siłami przyprowadzają do skutku trudniejsze przedsięwzięcia i ulepszenia w gospodarstwie. A to gromadne życie, którego korzyści na każdym dają się oceniać kroku, rozwija w nich poczucie solidarności i wpływa na ich uspołecznienie.

Większość dworów, na lewym brzegu Olzy położonych, rozsiadła się w bliższej lub dalszej od siebie odległości na południowych zboczach Złotego gronia, góry wybiegającej na 700 metr. ponad poziom morza. Ów Złoty groń, w którego kształtach Izdebnianie upatrują podobieństwo do olbrzymiego bochna chleba, jest dla nich prawdziwą złotą górą z bajki. On zasłania ich siedziby od mroźnych podmuchów zimowych, on dostarcza skrzyżali [1]) na stoły, podłogi, przylepki [2]); on karmi głodne usta plonem uprawnych pól, które go okrywają pozłocistym płaszczem od czupla [3]) do podnóża, on dostarcza orzeźwiającej wody ze źródeł, biorących początek w kamiennem jego łonie. Ba, w jednem z takich źródeł babki dzisiejszych gaździnek znajdowały nawet kawałki srebra »tela co poganka« [4]). Dziś wprawdzie — przy ogólnym systemie oszczędnościowym i Złoty groń stał się mniej szczodrobliwym, ale ten, kto się uda na poszukiwanie srebrnego runa na lesistych, zbiegających ku Olzie jego skłonach, żałować nie będzie, piękność bowiem bogatej przyrody złotem mu zapłaci poniesione trudy.

U Złotego gronia najżywszem tętnem pulsuje życie wsi. Tu wznosi się okazały kościół, mogący pomieścić 4 tysiące wiernych; tu stanęły dwa obszerne murowane budynki czteroklasowej szkoły ludowej, fara [5]) i cztery gospody, przez zamożnych gazdów utrzymywane; tu mieszka inteligencja miejscowa, jakoto: wielebny [6]), paterek [7]), czterej rechtorzy [8]) przełożeństwo gminy, członkowie zarządu Kółka rolniczego, tu znajduje się też poczta, piekarnia, sklepik, jatki. Im dalej natomiast od Złotego gronia, tem rzadsze w Izdebnem siedziby ludzkie, tem więcej drzew, wody, ciszy, samotności.

Ale nie zawsze bywało spokojnie i cicho w tym uroczym zakątku, nad granicami położonym. O milczące dziś góry obijała się raz wraz w starodawnych czasach wrzawa wojenna. Świadczą o tem szańce, rozrzucone po roli i paszonkach gazdów, świadczy bliskie sąsiedztwo przesmyku jabłonkowskiego, w którym widnieją po dziśdzień ruiny fortu, szesnastego sięgające stulecia. W kierunku tego przesmyku zwracały się niegdyś trwożne spojrzenia całego Śląska, bo z tej strony groziła mu najczęściej burza wojenna. Tędy, międzygórskim owym przesmykiem, którym dziś przelatują jeno pociągi, cisnęły się bojownicze Węgrów zastępy; stąd groziła Ślązakom — po złamaniu Węgrów — krzywa szabla turecka, tu rozgrywały się krwawe sceny trzydziesto i siedmioletniej wojny; tym, ręką samej przyrody ubitym gościńcem, nie dalej jak przed trzydziestu laty, zamierzali Prusacy przedrzeć się na Węgry. I jeżeli cały Śląsk, dzięki geograficznemu swemu położeniu u tak zwanej Bramy Morawskiej, otwierającej wolne przejście między Karpatami a Sudetami — niszczony bywał ogniem i mieczem wszelakich wojsk europejskich, — to i górskie jego okolice, sąsiadujące z przesmykiem jabłonkowskim, wyjątku nie stanowiły w tym względzie. Mieszkańcy tych okolic mieli do walczenia nietylko z dziką przyrodą górską, ale z dzikszym od niej człowiekiem-napastnikiem. A z tych podwójnych zapasów wychodzili zwycięsko. Dotąd w opowiadaniach starców pobrzmiewa echo sławnych wspomnień, jako to górale, choć żaden [9]) ich ku temu nie przymuszał,

*) Wieś.

[1]) Płyty kamienne. [2]) Przyżby ze skoli, to jest z kamienia, otaczające chaty. [3]) Szczyt.

[4]) Ziarno tatarki.

[5]) Plebanja. [6]) Proboszcz. [7]) Wikary. [8]) Nauczyciele.

[9]) Zaimek żaden stale bywa używany na Izdebnem zamiast nikt.

uzbroiwszy się wedle możności, pobiegli wziąść się w przesmykach za bary z Turkiem, wdzierającym się od strony węgierskiej, a góralskie obuszki tak dogodziły poganom, że »cofli się do dom i więcel nie przziszli«.

O rycerskiej przeszłości mówi też — obok szańców i legendy — powierzchowność, temperament, charakter dzisiejszych Izdebnian. Piękny, krzepki, dzielny to lud. Wysoki wzrost, dwóch metrów u najdrobniejszych sięgający, siła, lekkość i zwinność w ruchach, pociągłe, smagłe twarze o żywych oczach czarnych i rzymskich nosach, bujne kędzierzawe włosy — oto cechy typowe mężczyzn, których uroda żywy stanowi kontrast z jasną pięknością kobiet, najczęściej średniego wzrostu, błękitnookich, o rumianych jak malina i jak malina okrągłych jagodach.

Poważnie wyglądają Izdebnianie, gdy w niedzielę rano spieszą gromadkami do kościoła w ciemnych, z fantazją na ramiona zarzuconych guniach, które malowniczo drapują się na ich wyniosłych, smukłych postawach. A kiedy nad wieczorem świątecznego dnia — po ukończeniu ćwiczeń — miejscowa straż ochotnicza przeciąga ulicą w zgrabnych strojach, uwydatniających silne kształty, — kiedy złote kaski zabłysną w słońcu jak, hełmy, a gromka pieśń buchnie z dźwięcznej piersi góralskiej — wówczas zrozumieć łatwo, dla czego Turcy, nie dotrzymawszy ongi pola ojcom tych zuchów, »cofli się do dom i więcel nie przziszli«.

Marja Wysłouchowa.

Z półki księgarskiej.

(Dokończenie).

Inaczej z p. Leonem Świeżawskim Ten poraz pierwszy stając z drukowaną księgą wobec naszej publiczności, podaje jej trzy dramaty: „Gwiazdy“ w 4 aktach, „Ćmy nocne“ w 1 akcie i „Samotnika“ w 5 aktach. Trzy dramaty odrazu — śmiały człowiek! — ale tacy świat zdobywają.

Co prawda—to śmiałość niezawsze idzie w parze u p. Świeżawskiego z powodzeniem. Znać u niego obznajomienie z nowożytną techniką dramatyczną i dążenie do naturalności, objawiające się między innemi w starannem, a chwalebnem unikaniu monologów. Znać usiłowanie dokładnej charakterystyki, lub nawet oddania bardzo subtelnych, skomplikowanych typów, jak w „Samotniku“ Paweł Morwicz, dekadent, który rozpustę próbuje usprawiedliwić zaziemskim wpływem zmarłej pierwszej swej narzeczonej. Mimo tych jednak usiłowań, charakterystyce osób w dramatach p. Świeżawskiego dużo jeszcze brakuje, jak dużo też brak im pod względem budowy. »Gwiazdy« np. całe są w gruncie rzeczy tylko ekspozycją do konfliktu dramatycznego, który się stał właściwie jeszcze przed rozpoczęciem się akcji. »W Samotniku« zaś wszystko najważniejsze się dzieje przeważnie za sceną, a to, co na scenie się odbywa, nie dość jest umotywowane. Najlepszym z tych dramatów są »Ćmy nocne«, jednoaktówka dość zręcznie i konsekwentnie przeprowadzona, która o ile z czytania osądzić można, mogłaby się przydać na scenę. Treścią tego dramaciku jest walka człowieka, wypuszczonego z więzienia, dokąd poszedł dla ocalenia kogo innego, z uprzedzeniami świata, który go odtrąca, jako napiętnowanego hańbą.

Jedno jeszcze: Pan Świeżawski musi popracować wiele nad językiem. Dość np. aktorowie nasi na własną rękę szpecą sztuki, w lwowskim teatrze wystawiane, używaniem czwartego przypadku po przeczeniu, abyśmy tego błędu u autora nie uważali za podwójnie karygodny.

Językowi natomiast p. Michała Lityńskiego, który wydał książkę pt. »Sycylja — szkice z podróży«, nic zarzucić nie można. Autor zwiedzając wykopaliska i pomniki sztuki, zwłaszcza starożytnej, w całych Włoszech, zawadził i o ten ich kąt, o którym Goethe powiedział: »Erst hier lernt man Italien kennen!«

Mimo jednak, że książka jego pod względem zewnętrznym nie ustępuje dziełom innych podróżników a przewyższa niektóre nagromadzeniem materjału, pewni jesteśmy, że w Warszawie np. spotka się z ostrzejszym sądem, niż prace tamtych. Każdy bowiem młody autor musi przejść frycowe, zarówno poeta, powieściopisarz, jak podróżnik.

Wzorem człowieka, który każdą swą podróż do ostatniej kropli nawet dla ubocznych swoim studjom celów wyzyskać umie i potrafi znaleść czas, aby poczynione obserwacje spisać, jest dr. Franciszek Krczek. Przykładem zaś tego są świeżo wyszłe dwie broszurki jego o szkolnictwie, jak się ono przedstawiało na dwu ostatnich wystawach, praskiej etnograficznej i berlińskiej. Na pierwszej zdaniem dr. Krczeka, szkolnictwo znacznie ciekawiej się prezentowało, niż na drugiej, to też broszurka, odnosząca się do szkolnictwa czeskiego, jest ciekawszą z dwóch, a zawiera niemało pouczającego i to nietylko dla nauczycielstwa. Zwrócimy tylko uwagę dajmy nato na ustęp o »teatrach lalek« lub o antropometrycznych pomiarach szkolnej dziatwy czeskiej: o stosunku wieku do wzrostu, wzrostu do zdolności, koloru włosów do wzrostu, a narodowości do koloru włosów.

Broszurkę o wystawie czeskiej dr. Krczek zaczyna polemicznie: »Niejeden — pisze — może rozpocząłby od szumnych frazesów na cześć wystawy, rozwiódłby się szeroko nad przepaścią, jaka dzieli nasz kraj i Czechy pod każdym względem, pokadził osobom swego stronnictwa, przyciął naturalne sferom rządzącym i przeciwnikom politycznym i zakończył apoteozą Czechów, a czarnym horoskopem naszej przyszłości«. — Wbrew temu autor zapewnia, że wybierze inną drogę. — Trzeba przyznać, że to początek i zaciekawiający i sprytny, uwalnia bowiem od porównywania stosunków czeskich szkolnych z naszymi, lecz niebezpieczny, gdyż mógłby komuś nasunąć podejrzenie, iż autor wykręca się sianem, bo naszych stosunków nie zna, czego my jednakże o dr. Krczeku twierdzić nie myślimy!..

W. Dąbrowski.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.